

*Prawda musi pozostać w ukryciu. Za wszelką cenę.*

# TESS GERRITSEN

## Igrając z ogniem



## Rozdział pierwszy

Od samego progu czuję zapach starych książek, woń zbutwiałego papieru i zmurszałej skóry. Inne antykwariaty, które minęłam przy tej brukowanej kocimi łbami uliczce, miały włączoną klimatyzację i drzwi zamknięte przed upałem, lecz ten jest szeroko otwarty, jakby zapraszał mnie do wejścia. To moje ostatnie popołudnie w Rzymie, ostatnia szansa, by zafundować sobie coś na pamiątkę. Kupiłam już jedwabny krawat mojemu mężowi Robowi i ekstrawagancką koronkową sukienkę dla naszej trzyletniej córeczki Lily, ale do tej pory nie znalazłam nic dla siebie. Teraz jednak widzę na wystawie antykwariatu dokładnie to, czego chcę.

Wkraczam w półmrok tak głęboki, że oczy potrzebują chwili, by się do niego przyzwyczaić. Na dworze jest gorąco, lecz tu panuje dziwny chłód, jakbym weszła do jaskini, do której nie docierają upał ani światło. Z ciemności

powoli wyłaniają się kształty. Widzę uginające się pod książkami półki, stare kufry podróżne i stojącą w kącie zaśnieżoną średniowieczną zbroję. Na ścianach wiszą obrazy olejne, wszystkie jaskrawe i brzydkie, ozdobione pożółkłymi karteczkami z ceną. Nie dostrzegam stojącego we wnęce właściciela, więc wzdygam się, gdy nagle odzywa się do mnie po włosku. Odwracam się i widzę małego gнома z brwiami niczym ośnieżone gąsienice.

– Przepraszam – mówię. – *Non parlo italiano.*

– *Violino?* – pyta, wskazując futerał ze skrzypcami, który noszę jak plecak. Instrument jest zbyt cenny, by zostawiać go w hotelowym pokoju, dlatego na wyjazdach wszędzie go ze sobą zabieram. – *Musicista?* – pyta i naśladuje grę na skrzypcach, wymachując w powietrzu wyimaginowanym smyczkiem.

– Tak, jestem skrzypaczką. Z Ameryki. Występowałam dziś rano na festiwalu – mówię. Chociaż mężczyzna kiwa grzecznie głową, nie sędzę, by mnie rozumiał. Wskazuję przedmiot, który zauważyłam w witrynie. – Czy mogłabym zobaczyć tę książkę? *Libro. Musica.*

Bierze z wystawy książkę z nutami i podaje mi ją. Musi być bardzo stara, bo pod moim dotykiem brzęgi kartek się kruszą. To włoskie wydanie, na okładce jest słowo *Gypsy* i rysunek przedstawiający grającego na skrzypcach potarganego mężczyznę. Otwieram książkę na pierwszej kompozycji, w tonacji molowej. To tęskna melodia, nie znam jej, ale mam od razu ochotę ją zagrać. Tak, to jest

coś, na co zawsze poluję, stara, zapomniana muzyka, zasługująca na to, by ją ponownie odkryć.

Kiedy przerzucam strony, wypada spomiędzy nich luźna kartka i ląduje na podłodze. Nie należy do książki, to papier nutowy; pięciolinie upstrzone są zapisanymi ołówkiem nutami. Tytuł kompozycji wykaligrafowano eleganckim pochyłym pismem.

*Incendio*, L. Todesco.

Czytając nuty, słyszę w głowie muzykę i już po kilku taktach wiem, że ten walc jest piękny. Zaczyna się prostą melodią w tonacji e-moll, ale w takcie szesnastym muzyka staje się bardziej skomplikowana. Po sześćdziesiątym takcie nuty piętrzą się i zderzają ze sobą w serii chropowatych akcydencji. Odwracam kartkę i widzę umieszczone przy każdym takcie znaczki. Szybkie jak błyskawice *arpeggia* zmieniają melodię w huragan dźwięków, od których dostaję nagle gęsiej skórki.

Muszę mieć te nuty.

– *Quanto costa?* – pytam. – Ta kartka razem z książką?

Właściciel obserwuje mnie z chytrym błyskiem w oku.

– *Cento* – odpowiada, po czym wyciąga długopis i zapisuje liczbę na dłoni.

– Sto euro? Chyba pan żartuje.

– *E' vecchio*. Stare.

– Nie aż tak stare!

Daje mi wzruszeniem ramion do zrozumienia, że wcale nie muszę kupować tej rozsypującej się książki z

cygańskimi melodiami. Już wcześniej dostrzegł, jak bardzo mi na niej zależy, i wie, że zapłacę każdą cenę. Muzyka jest moją jedyną słabością. Nie interesują mnie modne stroje, buty i biżuteria, jedyną rzeczą, która jest dla mnie naprawdę cenna, są stuletnie skrzypce, które w tej chwili mam na plecach.

Właściciel daje mi paragon i wychodzę na zewnątrz. Popołudniowy skwar jest gęsty jak syrop. Dziwne, że w środku było mi tak zimno. Przyglądam się budynkowi, ale nie widzę klimatyzatora, tylko zamknięte okno i dwa gargulce nad frontonem. Oślepia mnie promień słońca odbity od mosiężnej kołatki w kształcie głowy Meduzy. Drzwi do sklepu są teraz zamknięte, ale przez zakurzone okno widzę właściciela, który przez chwilę mi się przygląda, a potem opuszcza żaluzje i znika z pola widzenia.

□ □ □

Rob zachwyca się krawatem, który kupiłam mu w Rzymie. Stoi przed lustrem w sypialni, z wprawą zawiązując na szyi lśniący jedwab.

– Właśnie czegoś takiego potrzebuję, by ożywić nudne zebranie – mówi. – Może te kolory nie pozwolą im zasnąć, kiedy zacznę przedstawiać suche liczby.

Choć ostatnia dekada przyprószyła siwizną jego skronie, w wieku trzydziestu ośmiu lat jest tak samo smukły i wysportowany jak w dniu naszego ślubu. W

wykrochmalonej białej koszuli i ze złotymi spinkami w mankietach, mój pochodzący z Bostonu mąż wygląda dokładnie tak, jak powinien wyglądać sumienny księgowy. Najważniejsze są dla niego liczby: zyski i straty, aktywa i pasywa. Widzi świat przez pryzmat matematyki; nawet wykonywane przez niego ruchy – gdy krawat zatacza łuk i zaciska się w doskonałym węźle – są idealnie geometryczne. Jak bardzo się od siebie różnimy! Jedynymi liczbami, które mnie interesują, są numery symfonii i opusów, a także znaki metryczne na partyturze. Rob opowiada wszystkim, że właśnie to go we mnie zafascynowało – w przeciwieństwie do niego jestem artystką, wietrzną istotą, która tańczy w promieniach słońca. Kiedyś martwiłam się, że te różnice mogą nas od siebie oddalić, że Roba, który tak mocno stąpa po ziemi, zmęczy wieczne pilnowanie, by jego zwiewna żona nie uleciała w chmury. Ale po dziesięciu latach wciąż ze sobą jesteśmy i wciąż się kochamy.

Zaciskając na szyi węzeł, uśmiecha się do mnie w lustrze.

– Bardzo wczesnie się dziś zbudziłaś, Julio.

– Nadal żyję zgodnie z rzymskim czasem. Tam jest teraz dwunasta w południe. To dobra strona długich podróży samolotem. Pomyśl o tych wszystkich rzeczach, które zdążę dzisiaj załatwić.

– Przewiduję, że w porze lunchu będziesz ledwo żywa. Mam odwiedzić Lily do przedszkola?

– Nie. Chcę, żeby została dziś ze mną w domu. Mam wyrzuty sumienia, że przez cały tydzień mnie przy niej nie było.

– Nie powinnaś. Twoja ciocia Val wpadała tutaj i wszystkim się zajmowała, jak to ona.

– Tak czy owak, strasznie stęskniłam się za małą i chcę z nią dziś spędzić każdą minutę.

Rob odwraca się, by pokazać mi swój nowy krawat, zawiązany idealnie pośrodku kołnierzyka.

– Co macie zamiar robić? – pyta.

– Jest tak gorąco, że chyba pójdziemy na basen. Może zajrzemy do biblioteki i wybierzemy jakieś nowe książki.

– Wygląda na całkiem dobry plan. – Rob pochyła się, by mnie pocałować; jego świeżo ogolone policzki pachną cierpkimi cytrusami. – Nie znoszę, kiedy cię nie ma, skarbie – mruczy. – Może następnym razem wezmę tydzień urlopu i pojedziemy razem. Czy to nie byłoby o wiele bardziej...

– Popatrz, mamuś! Popatrz, jak mi ładnie!

Nasza trzyletnia córka Lily wbiega tanecznym krokiem do sypialni i obraca się na pięcie w kupionej jej przeze mnie w Rzymie nowej sukience, którą przymierzyła poprzedniego dnia wieczorem, a teraz za żadne skarby nie chce zdjąć. Bez ostrzeżenia wystrzela niczym pocisk w moje ramiona i obie przewracamy się ze śmiechem na łóżko. Nie ma nic słodsze od zapachu mojego dziecka i chcę wdychać każdą jej cząsteczkę, wchłonąć ją z

powrotem w moje ciało, żebyśmy znów stały się jednością. Kiedy ściskam rozchichotaną burzę blond włosów i lawendowych koronek, Rob też kładzie się na łóżku i obejmuje nas obie.

– Oto dwie najpiękniejsze dziewczyny na świecie – mówi. – I są moje, tylko moje.

– Zostań w domu, tato – rozkazuje Lily.

– Bardzo bym chciał, kochanie. – Rob składa głósnego całusa na głowie córki i niechętnie wstaje z łóżka. – Tatusi musi iść do pracy, ale wiesz, jaka z ciebie szczęściara? Spędzisz cały dzień z mamusią.

– Chodź, włożymy kostiumy kąpielowe – zwracam się do małej. – Będziemy się świetnie bawić, tylko ty i ja.

I rzeczywiście świetnie się bawimy. Pluskamy się w miejskim basenie. Na lunch jemy pizzę z serem i lody, a potem idziemy do biblioteki, gdzie Lily wybiera dwie nowe książki z obrazkami, których głównymi bohaterami są osiołki, jej ulubione zwierzaki. Kiedy o trzeciej po południu docieramy do domu, jestem prawie nieprzytomna ze zmęczenia. Zgodnie z tym, co przewidywał Rob, dopada mnie jet lag i marzę tylko o tym, by wślizgnąć się do łóżka i zasnąć.

Niestety, mój córka jest pełna werwy i wyciąga pudło ze swoimi starymi niemowlęcymi ciuszkami na patio, gdzie drzemie nasz kot Juniper. Lily uwielbia go ubierać; zawiązała mu już na łebku czepek, a teraz wciąga rękaw na przednią łapę. Nasz kochany stary kot jak zwykle



cierpliwie to wszystko znosi, nie buntując się przeciwko marszczeniom i koronkom.

Podczas gdy Juniper bierze udział w pokazie mody, przynoszę na patio skrzypce i pulpit i otwieram nuty z cygańskimi melodiami. Ponownie wypada z niej luźna kartka z walcem i ląduje u moich stóp. *Incendio*.

Nie zaglądałam do tej kompozycji od chwili, gdy kupiłam ją w Rzymie. Przypinając kartkę do pulpitu, myślę o pogrążonym w półmroku antykwariacie i jego właścicielu czającym się we wnęce niczym jakieś jaskiniowe zwierzę. Czuję, że ramiona pokrywa mi gęsia skórka, zupełnie jakby panujący w sklepie chłód przeniósł się na tę muzykę.

Biorę do ręki skrzypce i zaczynam grać.

W to parne popołudnie brzmienie mojego instrumentu jest głębsze i bogatsze niż kiedykolwiek, a jego ton aksamitny i miękki. Pierwsze trzydzieści dwa takty walca są tak piękne, jak sobie wyobrażałam: to lament wyśpiewywany żalonym barytonem. Lecz po czterdziestym takcie tempo staje się szybsze. Najeżona akcydencjami melodia zmienia się i wibruje, wspinając się na pozycję siódmą na strunie E. Pot występuje mi na twarz, gdy staram się zachować tempo i nie pominąć żadnej nuty. Mam wrażenie, że smyczek porusza się niezależnie ode mnie, że ktoś go zaczarował, a ja próbuję mu po prostu dotrzymać kroku. Och, jaka to cudowna muzyka! Jak wspaniale by zabrzmiała, gdybym zdołała ją

opanovać. Nuty wykraczają poza skalę. Nagle gubię melodię, w lewą rękę łapie mnie kurcz i muzyka zmienia się w dziki zgiełk.

Drobna dłoń dotyka mojej nogi. Czuję na skórze coś mokrego i ciepłego.

Przestaję grać i spoglądam w dół. Lily patrzy na mnie, jej oczy są przejrzyste niczym turkusowa morska toń. Nic nie zakłóca w nich spokoju, nawet kiedy wzdragam się struchlała i wyrywam z jej zakrwawionej ręki grabki. Jej bosa nogi zostawiły krwawe odciski na kamiennym patio. Coraz bardziej przerażona, podążam ich śladem, by odkryć, skąd się wzięła ta krew.

I nagle zaczynam krzyczeć.

## Rozdział drugi

Rob pomaga mi zmyć z patio kocią krew. Biedny stary Juniper leży teraz zawinięty w czarną torbę na śmieci i czeka na swój pogrzeb. Wykopaliliśmy mu grób w samym rogu działki, za krzakiem bzu, żebym nie musiała go oglądać za każdym razem, kiedy wychodzę do ogrodu. Osiemnastoletni, prawie ślepy, łagodny Juniper był z nami od bardzo dawna i po śmierci zasłużył sobie na coś więcej niż torba na śmieci, ale byłam zbyt wstrząśnięta, by wymyślić coś innego.

– To był na pewno zwykły wypadek – upiera się Rob. Rzuca brudną gąbkę do wiadra i woda, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, przybiera przyprawiający o mdłości różowy kolor. – Lily musiała się potknąć i na niego upaść. Dzięki Bogu, że nie trafiła twarzą na ostry koniec grabek, bo mogła stracić oko, albo jeszcze gorzej.

– Owijałam go torbą na śmieci. Widziałam go... miał więcej niż jedną ranę. Jak można się potknąć i przewrócić trzy razy?

Ignoruje moje pytanie. Podnosi narzędzie mordu, grabki z ostrymi ząbkami.

– Swoją drogą, jak to w ogóle trafiło do jej rąk? – pyta.

– W zeszłym tygodniu pieliałam grządki. Zapomniałam chyba odnieść grabki do szopy z narzędziami. – Na ząbkach nadal jest krew i nie mogę na nie patrzeć. – Rob, nie niepokoi cię, jak ona na to wszystko zareagowała? Zadźgała Junipera i kilka minut później poprosiła o sok. Najbardziej przeraża mnie to, że po tym, co zrobiła, jest taka spokojna.

– Jest za mała, żeby to rozumieć. Trzyletnie dzieci nie wiedzą, co to śmierć.

– Musiała zdawać sobie sprawę, że robi mu krzywdę. Juniper na pewno wydał jakiś dźwięk.

– Nie słyszałaś go?

– Grałam na skrzypcach tu, w tym miejscu, a oni byli w tamtym rogu patio. Wydawało mi się, że świetnie się bawią. Do momentu, kiedy...

– Może ją zadrapał. Może czymś ją sprowokował.

– Idź na górę i przyjrzyj się jej rękom. Nie ma na nich najmniejszego śladu. I sam wiesz, jaki łagodny był ten kot. Można mu było wyrwać przypadkiem sierść albo nadepnąć na ogon i nigdy cię nie zadrapał. Miałam go, odkąd był kociakiem, a teraz zginął w taki sposób... –

Załamuje mi się głos i osuwam się na krzesło, czując, jak przytłacza mnie ogromna fala smutku i zmęczenia. A także poczucia winy, bo nie zdołałam pomóc staremu przyjacielowi, który wykrwawiał się na śmierć zaledwie dziesięć metrów ode mnie. Rob, nie wiedząc, jak mnie pocieszyć, klepie mnie niezgrabnie po ramieniu. Mój odznaczający się logicznym, matematycznym umysłem mąż wobec kobiecych łez jest bezradny.

– Już dobrze, dobrze, skarbie – mruczy. – Może sprawimy sobie nowego kociaka?

– Chyba nie mówisz poważnie? Po tym, co zrobiła Juniperowi?

– Masz rację, to głupi pomysł. Ale nie wiń jej, proszę cię, Julio. Na pewno brakuje jej go tak samo jak nam. Po prostu nie rozumie, co się stało.

– Mamuś! – krzyczy Lily ze swojego pokoju, gdzie położyłam ją, żeby się przespała. – Mamuś!

Chociaż jej wołanie skierowane jest do mnie, to Rob bierze ją z łóżeczka i Rob kołysze ją na kolanach, siadając na tym samym bujanym fotelu, na którym kiedyś ja ją tuliłam. Obserwując ich, myślę o czasach, kiedy była jeszcze całkiem malutka i godzinami bujałam się z nią w nocy w tym fotelu, czując, jak przyciska do mojej piersi aksamitny policzek. To były magiczne, bezsenne noce, istniałyśmy wtedy tylko ona i ja. „Zapamiętaj to, proszę – szeptałam, patrząc jej w oczy. – Zapamiętaj na zawsze, jak bardzo mamusia cię kocha”.

– Kicia odeszła – płacze Lily, tuląc się do ramienia Roba.

– Tak, kochanie – mruczy Rob. – Kicia poszła do nieba.

□ □ □

– Uważa pan, że to normalne zachowanie u trzylatki?  
– pytam tydzień później pediatrę podczas rutynowej wizyty kontrolnej. Doktor Cherry bada rozchichotaną Lily, naciskając jej podbrzusze, i nie od razu odpowiada na moje pytanie. Wydaje się autentycznie lubić dzieci i Lily reaguje na to, starając się być jak najbardziej czarująca. Posłusznie obraca głowę, by mógł jej zajrzeć do uszu, i otwiera szeroko usta, gdy doktor przyciska jej język szpatułką. Moja przemiła córeczka doskonale wie, jak owinąć sobie wokół palca każdego nieznajomego.

Doktor prostuje się i patrzy mi prosto w oczy.

– Agresywne zachowanie nie musi być czymś niepokojącym – mówi. – W tym wieku dzieci łatwo wpadają we frustrację, gdy nie potrafią wyrazić tego, co czują. A mówiła pani, że nadal posługuje się głównie trzy- i czterowyrazowymi zdaniami.

– Czy to coś, czym powinnam się przejmować? Tym, że nie mówi tyle co inne dzieci?

– Nie, nie. Wyznaczniki rozwoju dziecka nie są wryte w kamieniu. Dzieci w dużym stopniu różnią się między sobą, a Lily pod każdym innym względem rozwija się zgodnie z oczekiwaniami. Jej wzrost, waga i

psychomotoryka są jak najbardziej normalne. – Doktor Cherry sadza małą na krawędzi stołu do badań i posyła jej promienny uśmiech. – I jaka z niej grzeczna dziewczynka! Cieszyłbym się, gdyby wszyscy moi pacjenci byli tacy chętni do współpracy! Widzi pani, jaka jest skupiona. Jak na wszystko zwraca uwagę.

– Ale po tym, co zdarzyło się z naszym kotem... Czy to oznacza, że może zrobić coś jeszcze gorszego, kiedy...  
– Nagle milknę, bo zdaję sobie sprawę, że Lily bacznie mnie obserwuje i słucha wszystkiego, co mówię.

– Może zabierze pani Lily do naszego pokoju zabaw, pani Ansdell – prosi cicho pediatra. – Pomówimy o tym sami, w moim gabinecie.

Ma oczywiście rację. Moja sprytna, uważna córka prawie na pewno rozumie więcej, niż mi się wydaje. Zgodnie z jego zaleceniem, zabieram ją z gabinetu zabiegowego do pokoju zabaw. Wszędzie leżą tam zabawki, jaskrawe plastikowe przedmioty bez ostrych krawędzi i małych elementów, które można by połknąć. Na podłodze kłęczący chłopczyk mniej więcej w tym samym wieku co ona i wydając mechaniczne dźwięki, popycha po dywanie czerwoną śmieciarkę. Stawiam Lily na podłodze, a ona kieruje się natychmiast do dzieciennego stolika z plastikowymi filiżankami i czajnikiem, podnosi czajnik i nalewa niewidzialną herbatę. Skąd wie, jak to się robi? Nigdy nie zapraszałam gości na herbatkę, a mimo to moja córka zachowuje się w tak typowy dla dziewczynek

sposób, podczas gdy chłopczyk, warcząc, popycha śmieciarkę.

Kiedy wchodzę do gabinetu, doktor Cherry siedzi już za biurkiem. Przez szybę możemy oglądać bawiące się w sąsiednim pomieszczeniu dzieci. Po ich stronie szyba jest lustrzana, dlatego nie mogą nas zobaczyć. Bawią się niezależnie od siebie, w swych oddzielnych światach, całkowicie ignorując siebie nawzajem.

– Moim zdaniem, przywiązuje pani zbyt wielką wagę do tego zdarzenia – mówi lekarz.

– Ma dopiero trzy lata i zabiła naszego domowego zwierzaka.

– Czy wcześniej były jakieś sygnały ostrzegawcze? Coś, co mogłoby wskazywać, że może go skrzywdzić?

– Absolutnie żadnych. Miałam Junipera jeszcze przed naszym ślubem, więc Lily znała go od urodzenia. Zawsze bardzo dobrze go traktowała.

– Co mogło spowodować ten atak? Czy coś ją rozgniewało? Albo sfrustrowało?

– Nie, wydawała się zupełnie zadowolona. Oboje byli tacy spokojni, że pozwoliłam im się bawić i zaczęłam grać na skrzypcach.

Doktor zastanawia się nad tym ostatnim szczegółem.

– Domyślałam się, że gra na skrzypcach wymaga dużej koncentracji.

– Próbowałam zagrać nowy utwór. I rzeczywiście, byłam bardzo skupiona.



– Może to wyjaśnia jej zachowanie. Zajął się pani czymś innym, a ona chciała zwrócić na siebie pani uwagę.

– Dźgając naszego kota? – pytam, z niedowierzaniem parszkając śmiechem. – To trochę drastyczny sposób, żeby zwrócić na siebie uwagę. – Spoglądam przez szybę na moją złotowłosą córeczkę, która bierze udział w wymyślanym podwieczorku. Nie chcę mnożyć wątpliwości, ale muszę o to zapytać. – Czytałam w internecie artykuł o dzieciach, które robią krzywdę zwierzętom. To podobno bardzo zły znak. Może oznaczać, że dziecko ma poważne problemy emocjonalne.

– Proszę mi wierzyć, pani Ansdell – uśmiecha się łagodnie doktor. – Lily nie zostanie seryjną morderczynią. Co innego, gdyby regularnie robiła krzywdę zwierzętom albo gdyby w rodzinie odnotowano wcześniej przypadki przemocy. Wtedy bardziej bym się tym przejmował.

Nie odzywam się; moje milczenie sprawia, że doktor bacznie mi się przygląda.

– Czy jest coś, o czym chciałaby mi pani powiedzieć? – pyta cicho.

Biorę głęboki oddech.

– W rodzinie odnotowano pewien przypadek. Chodzi o chorobę psychiczną.

– W rodzinie pani męża czy pani?

– Mojej.

– Nie przypominam sobie, żebyś czytał o tym w danych medycznych Lily.

– Nic tam nie ma, bo nigdy o tym nie wspominałam. Nie sądziłam, że można dziedziczyć tego rodzaju rzeczy.

– Jakiego rodzaju rzeczy?

Zastanawiam się chwilę nad odpowiedzią, bo choć nie zamierzam go okłamywać, nie chcę mówić więcej, niż muszę. Więcej, niż to możliwe bez skrepowania. Patrzę na swoją śliczną córkę.

– To zdarzyło się wkrótce po narodzinach mojego brata. Miałam wtedy tylko dwa latka i nic nie pamiętam. Dowiedziałam się o wszystkim później od ciotki. Słyszałam, że matka doznała jakiegoś rodzaju załamania nerwowego. Wysłano ją do zakładu zamkniętego, bo podobno stwarzała zagrożenie dla innych osób.

– Czas, w którym doszło do załamania, wskazuje, że mógł to być przypadek depresji albo psychozy poporodowej.

– Owszem, taką właśnie słyszałam diagnozę. Została przebadana przez kilku psychiatrów, którzy uznali, że jest niepoczytalna i nie ponosi odpowiedzialności za to, co się wydarzyło.

– A co się wydarzyło?

– Mój brat... mój młodszy brat... – Zniżam głos do szeptu. – Matka upuściła go i zmarł. Twierdzili, że w tamtym momencie cierpiała na omamy. Słyszała głosy.

– Przykro mi. To musiał być bardzo bolesny okres dla pani rodziny.

– Nie potrafię sobie wyobrazić, jakie to było straszne

dla mojego ojca. Utrata dziecka. Zamknięcie matki w szpitalu.

– Powiedziała pani, że wysłano ją do zakładu zamkniętego. Czy wyzdrowiała?

– Nie. Zmarła tam dwa lata później na zapalenie wyrostka robaczkowego. Tak naprawdę jej nie znałam, ale teraz nie mogę przestać o niej myśleć. I zastanawiam się, czy Lily... czy to, co zrobiła naszemu kotu...

Doktor Cherry rozumie teraz moje obawy. Wzdychając, zdejmuje z nosa okulary.

– Zapewniam panią, że nie ma tutaj związku. Dziedziczenie genu przemocy nie jest takie proste jak to, że Lily ma pani niebieskie oczy i blond włosy. Znam tylko kilka udokumentowanych przypadków, w których można mówić o wyraźnie dziedzicznym charakterze przypadłości. W Holandii żyje na przykład pewna rodzina, której niemal wszyscy mężczyźni trafili do więzienia. I wiemy, że chłopcy z dodatkowymi chromosomami Y są bardziej od innych skłonni do zachowań kryminalnych.

– Czy u dziewcząt też występuje coś podobnego?

– Oczywiście dziewczynki również mogą być socjopatkami. Ale czy to jest coś genetycznego? – Lekarz kręci głową. – Nie sądzę, żeby statystyki to potwierdzały.

Statystyki... Rozumuje podobnie jak Rob, który zawsze je przytacza. Ci mężczyźni tak bardzo wierzą w swoje liczby. Odwołują się do opracowań naukowych i najnowszych badań. Dlaczego nie dodaje mi to otuchy?